Nº VI. Cena 2 m.

Łazik



Idą ochotnicy, dusza do nich rwie się.
Śpiewają o wojnie, o zielonym lesie...
Ach, niezapomniane pożegnania chwile.
Serce polki dzisiaj nie dla was, cywile!

HEJ, OSTRZYĆ MIECZE, ŚWIĘCIĆ BROŃ!

Hej, ostrzyć szable, święcić broń —
Na koń, na koń, na koń!
O bracia! Hordy krwawych widm
W opiłych, dzikich wrzasków rytm
Za Wilnem już, za Grodnem, Lidą
Tu do nas idą... idą... idą...
Kirgizów czerń, chunchuzów plemię
Ogniem i nożem ryje ziemię,
Spada bestjalskich zwałem ciał
By zetrzeć nas — na miał!

Hej, ostrzyć szable, święcić broń —
Na koń, na koń, na koń!
Ha, czyż bezsilnie patrzeć nam
Aż bestja runie tu — od bram
Kobiety odrze z czci, dziewczęta,
Aż jęknie pod nią ziemia święta,
Hańby, od Niemna aż za Wartę
Rzucając piętno niezatarte,
Co jak żałobny będzie śpiew
Co pali twarz — jak krew?

Hej, ostrzyć szable, święcić broń —
Na koń, na koń, na koń!
W kim dusza polska — jak ptak stąd,
Jak wicher, pogna w bój na front,
Wydzierać ziemię wrażej mocy,
Zmęczonym druhom ku pomocy
Swe mocne, świeże podać ramię,
Podeprzeć tego, co się łamie
Od tylu dni bez tchu, bez snu
Od tylu dni — we krwi!

Hej, ostrzyć szable, święcić broń —
Na koń, na koń, na koń!
Nie czekać, aż potworny gość
Kańczug nam wryje w kark po kość!
Ostatnia bije już godzina:
Śmierć, albo życie się zaczyna —
W bagnetów ostrzach, w sztorcach kos
Prowadź nas Bóg i dobry los
Na front! Wolności bronić złotej!
My — żołnierz z własnej swej ochoty

Gdy czart nam żądło w serce wpija —
Idziemy w bój. — Jezus, Maryja!

W. ST. PŁOMIEŃCZYK.

N O W Y Ł A D.

BAJKA.

Stary porządek padł.
Bydlęta,
poddaństwa zrzuciwszy pęta,
nowy ogłosiły ład.
Ład nowy, co się wyraża
dyktaturą inwentarza.
Pożegnawszy się z obórką,
młody byczek, z kółkiem w nosie,
galopem obiegł podwórko,
a gdy łbem palnął w latarnię,
ryknął: — Stało się!

Ot, leży marnie.
Precz wszystkie ludzkie wymysły,
gdy więzy prysły.
— Precz! — potwierdziła gromada.
Nie myśląc wiele,
z osłem na czele
do ogrodu hurmem wpada
i dalejże do roboty:
łamie drzewa, słupy, płoty;
tryumfu wydając kwiki,
depce, klomby i trawniki...

Świnie gorliwie reformują grządki,
chcąc nowoczesne utrwalić porządki.
Kto jeno może, gnojem kala studnię,
by nie nęciła jej czystość obłudnie.
Wreszcie, śród zwalonych drzew,
legła obora i stajnia, i chlew.
Gdy się już wszyscy dobrze spracowali,
pyta Skop Osła: — Co dalej?

— Jakto: co dalej?—Ano... hm... psia mać,
co tera żreć?... gdzie spać?...
— Głupstwo! — rzekł Osieł.—Tylko się zastanów
co to za szczęście: niema śladu panów
i świat możemy odbudować ślicznie,
maksymalistycznie, odnowa.
— Ale jak?... W tem już nasza głowa:
ośla, barania, wołowa...

BENEDYKT HERTZ.



„Hej, który tam z was boi się bolszewików! Popatrzta. Nie takie one straszne, ino trza śmiało za kark chwytać."

ODEZWA BOLSZEWICKA.

Towariszczy, polskie sałdaty!

My, proletarjat całej niedzielimej Rosji, obracamy się do was z wezwaniem, coby wy odtargnęli od siebie biało-amarantowe chorugwi Polszy burżuazyjnej, a podnieśli wysoko czerwony flak naszej sowdepskiej obszczyny.

Nie wierzcie kłamstwom najemnych pismaków, które oczerniają Rosję ludu pracującego.

Nam wierzcie!

U nas raj!

Mamy rząd robotniczo-włościański. On składa się z samych prawdziwych robotników i włościan — z drewnianej biedoty. Siedzą w nim takie korzenne mużyki, jak Trocki-Bronstein, Radek-Sobelsohn, Kamieniew-Rosenfeld, Zinowiew-Apfelbaum, Stiekłow-Nachamkes, oraz robotniki: Litwinow - Finkelstein, Unszlicht i Joffe, a na czele stoi proletarjusz wszystkich krajów Lenin. Odkąd oni rządzą świętą Rosją, swoboda u nas taka, że towarzysze-kucharze mogą być naczelnikami szpitali, towarzysze-dentyści mają prawo budować mosty, towarzysze-krawcy bywają dyrektorami cukrowni, towarzyszki-pomywaczki zakładają gimnazja. I możesz, towarzyszu, nie umieć ani czytać, ani pisać, a jeśli zechcesz, tak ciebie zrobią choćby profesorem uniwiersitieta.

W każdej gminie jest „kombied" — czyli urząd, złożony z dawnych pastuchów, żebraków, głupich Janków, nieszczastnych alkoholików i pobytowych ofiar caratu. Tak one mogą całemi dniami po rowach do góry brzuchami leżeć, a gospodarze, co własne grunta mają i po burżujski od rana do nocy harują— muszą im wszystko znosić, karmić, odziewać, nawet własnej baby w potrzebie użyczyć. Taka to wolność dla biednego narodu. Bo co twoje, to moje, a co moje — też twoje, jeżeli ja nic nie mam. A kto ukraść potrafi — kupować nic nie potrzebuje. Tak oszczędność przez to wielka i ludzie bogacą się. Miejsca także samo coraz więcej, bo i wolność umierania teraz u nas nieograniczona. Umrze kto — tak wedle porządku wszystko idzie, bo i trupy nawet w ogonkach na pochrony czekają. A własność prywatna burżujska wymazana — tak, że nawet trumny nikt swojej nie ma, tylko się nią do dołu przejedzie, a potem musi oddać następnemu.

Widzicie więc, towaryszczy, polskie sołdaty, że w Rosji sowdepskiej nie żyć, a umierać. Dlatego jeszcze raz was wzywamy: przechodźcie do naszej krasnej armji, bić się za naszą wspólną, niedzielimą Rosję bolszewicką.

Ura! Ura! Ura!

WYPRAWA TROCKIEGO DO WARSZAWY.

(PIEŚŃ DZIADOWSKA).

O rety, ludzie co się tera dzieje?
Śmią nam urągać sowdepskie złodzieje.
Co za cholera zbójów tutaj niesie?
Nie dajta-że się!

Gdy Rosję obrał Trocki do koszuli,
zbrakło na pasek chleba i cebuli —
więc do Warszawy ma ochotę silną:
bardzo mu pilno.

Zewsząd nań krzyczą: do Polski nas prowadź!
tam je urodzaj, będzie czem paskować!
Nie bardzo polak nawet się rozzłości,
bo lubi gości.

W Polsce narodu je natura taka:
prędzej usłucha gościa, niż rodaka.
Obcym wyniesie i chleba, i soli —
swoim warcholi.

Wszystko tam jurne, póki je Piłsudski,
wyrozumiały, lojalny i ludzki...
Lecz gdyby obcy za pysk wziął ich krótko,
siądą cichutko.

Gdy informacji takich ponazbierał
od wywiadowców pan Bronstein generał,
jedzie expresem — że je rycerz krewki —
wprost na Nalewki.

Lecz zanim jeszcze dojechał do Grodna,
mówią mu: Polska nie kłóci się, zgodna!
Ajwaj! w niej nagle jedność nastąpiła,
a to je siła.

Więc zaklął Trocki nieprzystojnie z ruska
i brodę rudą na swej gębie muska —
bowiem ostała wyprawa nagląca
jak on — bez końca.

ZE WSPOMNIEŃ LEGJONOWYCH.

Pluton X obsadził pozycję nad Nidą. Na wedecie postawiono, między innymi, obyw. „Leszka“. (Była to kobieta, malarka) Noc ciemna. Cisza. Wtem komendanta placówki, kaprala, budzi głośne wołanie o pomoc.

Kapral zbliża się ku wołającemu żołnierzowi.

— Zahaltowałam kogoś — melduje obyw. Leszek — a ten stoi, nie odzywa się.

Kapral spostrzega istotnie jakąś postać w ciemności. Zbliża się ostrożnie.

— Stój! Kto idzie?

Nie otrzymując żadnej odpowiedzi, posuwa się jeszcze kilka kroków i trafia na drzewo.

Od owej to nocy powtarzano sobie:

— Jak obywatel Leszek zahaltował drzewo, to do dziś stoi.

— — — — — — — — — — — —

W bataljonie Wyrwy-Furgalskiego kompanja Narbutta pod Krzywopłotami leży w tyraljerce. Naraz jeden z żołnierzy podbiega do Narbutta, trzymając dłoń pod nosem.

— Obywatelu kompanijny, melduję posłusznie, że kula obtarła mi nos...

Na to Narbutt z zimną krwią:

— Nie trzeba się smarkać w linji.

— — — — — — — — — — — —

Z ROZMÓW TELEFONERA.

— Telefoner, czy to prawda? Żonaty jesteś podobno sześć lat, a masz już pięcioro dzieci.

— Mam.

— To ty musisz bardzo kochać żonę?

— Żonę?... Phi, takie kubyte, jak wszystkie.

— Więc chyba lubisz dzieci?

— I!... dżeczy... tylko kłopot.

— Więc jeżeli żony nie kochasz, dzieci nie lubisz... Skąd się one biorą?

— Ja bardzo lubię te robote.

— T e l e f o n e r! co to ma znaczyć? Jaką nosisz szarżę?

— Jestem kapralem, panie majorze.

— Kapralem, a nosisz na patkach trzy galony!.. Czy nie wiesz, że ci się należą tylko dwa?

— Ja wim, panie majorze, ale na wipadek jakby mi jeden galon miał odpaść, to sobie na zapas przyszyłem inny, bo w kieszeni mógłby się pognieść.

NIEZDATNY.

— Podałeś się już na ochotnika?

— Ach, chciałbym bardzo, ale nie mogę. Przechodziłem w dzieciństwie bardzo ciężką chorobę...

— Doprawdy? Jaką?

— Koklusz.

DEWIZA.

Nie czas na pieśni i na puste słowa
Nie czas swe goić i obmywać blizny —
Iść i zwyciężyć! — oto prosta mowa —
Niech braknie laurów dla synów Ojczyzny!

XAWERY GLINKA.



— Cóżeś taki kontent?
— Ano wstąpiłem na ochotnika. Źle mi?
— Warjat. Ja tobym wolał, żeby bolszewiki przyszli.
— E?
— Ano, pewno. Zara tu raj będzie dla wszystkich klawiszników.

USPRAWIEDLIWIŁ SIĘ.

Na ulicy Petersburga gwardzista spostrzega jegomościa, obutego w eleganckie lakierki.

— Stoj! — woła.

Zaczepiony przystanął.

— Czego?

— Przyznaj się—bierze go na spytki przedstawiciel władzy sowieckiej—ty burżuj?...

— Ależ co znowu, towarzyszu! Taki sam jestem proletarjusz, jak i ty.

— Nie łżyj. Nie oszukasz. Skądbyś miał takie obuwie?

— Ukradłem, towarzyszu.

— Aa!... ukradłeś, to co innego. Możesz iść dalej.

CO MOWI ŁAZIK?

Żebyśta widzieli, moje państwo, jaka to niemiła rzecz ten huraganowy ogień!— To gorzej w głowie huczy, niż po czterech kwaterkach okowity. Ale co! Jak się człowiek napije, to tyle tylko, że mu czort we łbie koziołki fika. A tu wszystko ci fika i na wnątrzu i dokolusieńka. Drzewo nie drzewo, góra nie góra, chałupa, żeby nawet murowana, to ci weźmie skakać, aż sie pokruszy na piaseczek i niema jej.Nic się nie ostanie. Tu dopiero co dąb ogromny stojał—patrzysz—już go niema. Tu znowuj skała wielgaśna z ziemi sterczała, łupnie ją taki sakramencki pieron — to się na drobniuśkie kamyki rozmiętoli i tyle z niej ostanie. Spojrzysz w niebo — kufer ci na łeb leci... Ino zdążysz głowe odchylić, żeby przypadkiem człowiekowi na nos nie spadł, a tu już kiele ciebie dół wyryło na dziesięć sążni, wszystko dokoła poszarpało, ziemię wywróciło korzeniami do góry... Patrzysz, co to się tak rucha?.. A to biedne krety, niebożątka, gmyrają się w piasku i do kretowin drogi naleść nie mogą.



Taka to ci cholera ten huraganowy ogień. Nie daj Boże!

Całe szczęście, że jeszcze tyla rozumu mi ostało, żeby się na takie nieprzyjemności nie narażać. Jak ino miarkuję, że nam te ścierwa z przeciwka taki huragan szykują, to wezmę, pońde se gdzie na bok i z drugiej strony do nich smale. Jakem wczoraj wziął szukać dogodnego miejsca,takem aż za jeich własne bolszewickie placówki zalaz. Ide se, a tu me raptem jakiś psubrat zaczepia. Byłby pewno krzywde zrobił, ino żem mu gębe kulą pokrwawił, więc humor stracił, rymnął na ziemię i przestał pyskować.

Szkoda człowieka. Żeby jeszcze chwile pozipał, byłbym go pewnikiem do niewoli wzion, a tak nie warto było gudłaja po piachu ciągać.

Takem się zmartwił, że już nie chciałem darmo do swoich wracać, więcem sobie we wsi choć dwie kaczuchny na pociechę ustrzelił, żeby kapralowi gębę zatkać, jakby mi co nieprzyjemnie chciał powiedzieć, że to niby on żadnego łazikowania nie prateguje. Taki służbista ze starych legunów to zawdy ma rozmaite zabombony. Ale Bóg z nim. Ja sam mu tego za złe nie mam, bo, prawde mówiąc, jucha śmiała i własnej skóry nie żałuje. Ino tego mu nie daruję, że nietylko kaczkę wzion, ale nawet nie podziękował; jeszcze kazał i tę drugą oddać, a mnie samego podał do raportu.

Taka to teraz wdzięczność na tem świecie.

KASIA I EUROPA.

Kasia aż do samej wojny
pędziła żywot spokojny:
że nie umiała niczego,
zatem była do wszystkiego.

Ignac wystarczał dziewczynie
jego kochała jedynie;
popłakała trochę w sieni,
kiedy go moskale „wzięni",
a następnego wieczora
poznała w bramie Jegora.

Odtąd kolejno chłop w chłopa
kochała Kasię cała Europa
i z tej oto właśnie racji
zna charakter wszystkich nacji,
a teraz dzieli się z nami
takiemi aforyzmami.

1) Moskal ci na imieniny
kupi „tufli" trzy tuziny;
przyhołubi swoją dunię,
spije się i w gębę plunie.

2) Szwab ztarguje, pocałuje,
pół kufelka zafunduje,
a zaś po... tym już bez względu
zaprowadzi do urzędu.

3) Francuz, zawsze pełen szyku,
gorący głównie w języku:
choć gęba pełna słodyczy,
dobrze swoje franki liczy.

4) Anglik pyta, gdy się czuli,
o cenę pończoch, koszuli...
Z wielkiego zaś podniecenia
mówi o Armji Zbawienia.

5) Brat-czech zagra na gitarze,
szklany brylant kupi w darze,
gdzieś w kącie popieści troszkę
i—ukradnie złotą broszkę.

* * *

Świat poznawszy, Kasia wraca
dziś do swojego Ignaca.
Lecz powiada dziewczę płoche,
że w wojsku zeszczuplał trochę.

(h.)

ŻOŁNIERSKA NIEDOLA.

— Co płacze ta Maciejowa
I co znaczą te lamenty?
— Bieda z Jóźkiem, Panie święty,
Nieszczęśliwa matki głowa!
Kiej w cywilnym żył se stanie,
Chłopak zdrów ci był jak ryba...
Pisze dziś że zamrze chyba
Wciąż choruje, święty Panie!
Oj, we wojsku bieda taka!
Coś ci go na wnętrzu strzyka,
Nie pomaga mu aptyka...
Bieda przyszła na chłopaka.
Czy w okopach, czyli w leże,
Wciąż w robocie są doktory:
Ciągiem jeno kwęka, chory...
Poco Józiek szedł w żołnierze!
— Ciężką służbę bez wątpienia
Ma, gdy słabość mu się zdarza?
— Dyć jest w pułku za kucharza
I słabuje z przejedzenia.

FRANCESCO.



Oficer: Zuch jesteś, Telefoner. Wszyscy inni rekruci przewrócili się po pierwszym strzale, ty jeden stoisz. Co chcesz w nagrodę?
Rekrut: Inne spodnie, panie oficer.

NA SUROWO.

Za straganem Marcinowa
W ręce chucha!
Bo też zima jest morowa.
Mróz psiajucha!
Lecz nie tylko ręce chciały
Tej ciepłości,
Inne członki też zgrabiały
Aż do kości!
A że nie jest w ciemię bita
Marcinowa,
Garnek z żarem węgla chwyta,
pod się chowa.
— Widzi chłopak to szewiecki
od sąsiada,
unosi jej trochę kiecki
i powiada:
— Poco smażyć, poco prużyć,
Marcinowo?...
Ten specyjał może służyć
Na surowo.

Rufinek.

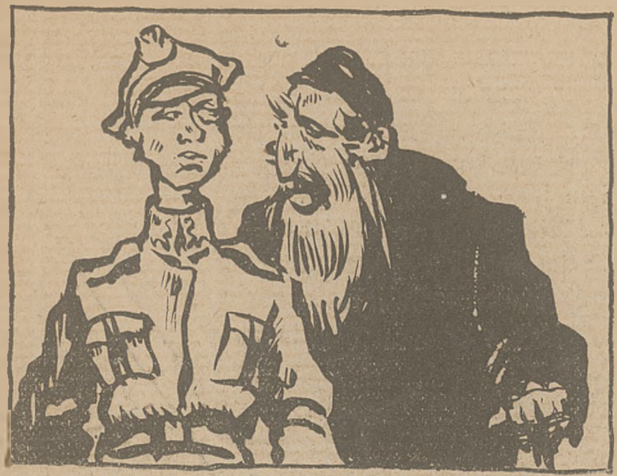
PORYWAJĄCE HASŁO.

— Ciekawa rzecz, jakim sposobem bolszewicy zyskują zwolenników? Przecież ich gospodarka...

— Co znaczy gospodarka wobec porywającego hasła?

— Jakie to hasło?

— Padam panu, wspaniałe!... Hasło, którem świat podbić mogą: „Towarzysze i towarzyszki wszystkich krajów, łączcie się!”.



Może do psiedania co, żotnierzu, macie?
Kupię pas, rebulber, nawet stare gacie.



— A kupicie krowę? — pyta Łazik żyda.
— Czemu nie! I krowa także mi się psida.



— Dam ci ja namawiać do handlu Łazika!
Wprost do jankielowej obórki pomyka.



Jankielową krowę maluje na czarno
— Oj, chyba cię, żydzie, wciorności ogarną.



Noc. W chałupie świeci łuczywa ogarek.
— Dajcie-no mi krowę, macie tysiąc marek.



Idzie do obory... Tu w krzyk: Aj waj mie!
Tak mnie nie oszukał nikt, jak długo żyję!

WARSZAWA 30-GO LIPCA

Redaktor odpowiedzialny: S. Michalski.

Wydawca: Tow. Akc. „ŁAZIK" Druk S. Michalskiego, Warszawa, Chmielna 60